

jakieś okno, ale wszędzie spotkalismy się z tym samym oporem, a numer 42, silacz pierwszorzędny, odskakiwał od nich z wściekłym przekleństwem na ustach!

Teraz Dalton stał na środku jednego pokoju, blady z gniewu, zaciskając kurczowo usta, wpatrzony odruchowo przed siebie.

Przyznaję, że wygląd jego dziwny przeraził mnie! Przeżywałem dotąd wrażenie i świadomość niebezpieczeństwa, jakie nas czekało, nie przejmowało mnie tak, jak teraz ten błędny, nieruchomy wzrok, utkwniony w przestrzeń.

I zrozumiałem, że za chwilę może się tu rozegrać dramat straszny, bo Dalton nie da się brać żywcem.

Tymczasem on usiadł, głowę podparł rękami i wzrok opuścił na podłogę, obojętny i spokojny pozornie, ważąc w prawej ręce rewolwer nabitą. Boże mój! co robić! Jak go ratować i nas wszystkich razem z nim. Wiedziałem, że Dalton za żadną cenę nie opuści starego Dambleuse, że uważa za punkt honoru czuwanie nad jego bezpieczeństwem i osobą. Nie będzie się więc starał o ratowanie siebie, jeżeli i starego Dambleuse uratować mógł nie będzie.

A okna znajdowały się o sześć stóp nad ziemią! My moglibyśmy skoczyć, ale stary! Skok z takiej wysokości przypłaciłby napewno życiem.

Te myśli przebiegły mi błyskawicznie przez głowę i nagle przypomniałem sobie drabinę!

Bez słowa, jednym skokiem znalazłem się na schodach, które przebiegłem w szalonym galopie. Już byłem przy oknie... pochyliłem się...

Drabina!... Chciałem zaryzykować, skoczyć, odnaleźć drabinę i przytwierdzić do ściany!... Niestety! Prędko spostrzegłem, że ten ostatni sposób ratunku został nam odcięty!...

Drabiny nie było!...

Ah! ci ludzie tam z dołu, którzy nas w tę zasadzkę wciągnęli, ostrożni byli i przewidujący!

W ostatniej chwili pomyśleli także i o drabinie i przysłali ją zabrać.

Bo przecież wyraźnie przy blasku powstającego już powoli dnia widziałem, że jej niema na dole pod domem!

Oh! naprawdę nie szczęściło się nam tego dnia! Przez chwilę wahalem się! Może nie znaleźli jej zbyt daleko? Może będę mieć jeszcze czas odnaleźć ją, przenieść tutaj i wyratować Daltona z towarzyszami!

Wahalem się, a tam dzwon nie przestawał wolać na alarm!

Okropne położenie!

Nagle do pokoju wpadł numer 42, blady, zmieniony i zaczął krzyczeć rozpaczliwie, wznosząc ręce do góry!

— Proch! panie! proch!

Pochwycił mnie za rękę, ciągnąc mnie za sobą, krzycząc bez przerwy zachrypłym od wzruszenia głosem:

— Proch! panie! proch!

I tak pociągnął mnie aż do gabinetu kapitana de Limandoux.

Zastanawiałem się! Owijał on pospiesznie nerwowymi ruchami pakiet jakiś w szmaty i serwetę, walające się na podłodze.

Poznałem torbę z amunicją kapitana.

— Proch! — syknął przez zęby Dalton.

Zrozumiałem!

Była to nasza ostatnia deska ratunku i to doskonala jeszcze! Szczęśliwym trafem, Dalton znalazł cały zapas prochu kapitana do polowania, który teraz miał nam służyć do wyrwania jakiego otworu w tym przeklętym domu, w którym byliśmy uwięzieni.

Było przeszło dziesięć kilo tego prochu!

Zeszliśmy na dół i Dalton wybrał stosowne miejsce do podłożenia prochu w kuchni pod oknem, które się nam wydało najmniej mocne i miało okucia rdzą zjedzone.

Tam to Dalton złożył swoją cenną zdobycz. Ogarnął mnie jednak nagły niepokój.

— Czy sądzisz — zapytałem — że wybuch będzie dostatecznie silny?

— Oczywiście.

— Czy jednak wszystkie pudelka wybuchną równocześnie?

— Tak. Zanim je owinałem, przedziurawiłem każde z nich pogrzebaczem. Sianowicie to będzie teraz jedna wielka bomba. Ah! Valorbel! Będzie to ładny wybuch!

— Żeby tylko cały dom się nie rozleciał — zauważyłem niespokojnie.

— Ha! trudno! — odparł energicznie Dalton — Nie mamy wyboru. Sądzę jednak, że tylko ta część kuchni się rozleci!...

Dalton zachował ostatnie pudelko. Przebił je i rozsypał proch po podłodze, kreśląc dwumetryowy może ślad w stronę drzwi. Późem scyzorykiem rozkroił świecę, wyciągnął z niej knot i kawałek tego knotu położył pod drzwiami na prochu.

— Oto podminowanie gotowe! — zawołał z zadowoleniem. — A teraz nagromadzimy do tej kuchni co tylko się da! Bierzcie się do roboty!

Cała ta operacja nie trwała dłużej nad dwie minuty, a może i mniej. Cała ta scena, od chwili, w której ujrzałem Daltona, kłęczącego na podłodze, rozwinęła się z taką szybkością, iż miałem wrażenie, że przed moimi oczami przesuwają się obrazy kinematograficzne!

Ale następstwa tej sceny były jeszcze bardziej sensacyjne i szarpające nerwy!

Tymczasem gromadziliśmy energicznie do kuchni wszystko, co nam do kuchni wpadło. Meble, dywany, ubrania, sprzęty, które ścigaliśmy z drugich pokoi. Rozumiałem doskonale plan Daltona, rozumiałem, że chciał „wypchać” swój wystrzał, aby wywołać pewniejsze rozwalenie ściany, którą mieliśmy uciec.

— Oh! cóż takiego znajduje się w tych kieszeniach — wyrzekł nagle numer 42, trzęsąc jakiś płaszcz stary, zawieszony za któryśmi drzwiami.

Numer 42 był dobrym wyżłem policyjnym. Nic nie uszło jego uwagi. Przeszukał teraz skrzętnie kieszenie, wciskając go równocześnie pomiędzy stół i kanapę.

— Listy i paczka! — oznajmił tryumfując po chwili, zwracając się do Daltona.

— Chowaj do kieszeni i prędko na górę! wszyscy! — zawołał mój przyjaciel.

Równocześnie pochylił się i przytknął płomień świecy do knotu. Jednym skokiem wpadliśmy wszyscy na górę.

— Zamknijmy się w pokoju w głębi — rozkazał Dalton. — Niemilo tu będzie za chwilę!

— Położmy się na podłodze — poradził Dambleuse.

— Dobra myśl!

Wyciągnęliśmy się jeden przy drugim.

— Cóż to? Nasz wysiłek się spóźnił! — niecierpliwie się Dalton, tracąc już widocznie panowanie nad sobą.

Nadsłuchiwaaliśmy wszyscy zbliżeniem sercem! Przyznaję, że ta chwila nie należała do najprzyjemniejszych.

I nagle nastąpił wybuch!

Straszny huk, jak gdyby uderzenie piorunu, wstrząsnął domem. Zatrzeszczały przeraźliwie belki u sufitu, a podłoga zdawała się chwiać pod naszymi stopami. Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem, uderzając głucho o ścianę i kłęb gorącego, przepojonego prochem wiatru wtargnął do środka.

— Na dół! Na dół! — zawołał Dalton, rzucając się ku drzwiom.

— Powoli! powoli, panie Dalton — przestrzegał numer 42. — Poczekajmy jeszcze! Może jeszcze nie wszystkie pudelka wystrzeliły.

Czy rzeczywiście byliśmy uratowani? A może i wysadzenie ściany nie pozwoli nam na ucieczkę, jeżeli tam na dole, dom jest już otoczony!

Świeży prąd powietrza, który uderzył mnie w twarz na schodach, zwrócił mi trochę nadziei. Zapewne ściana musiała zostać rozwalona.

W ciemności potykaliśmy się wszyscy o gruz, którymi zapelniony był korytarz. Czyżby cała część domu była zniszczona? Było prawdopodobne, że podłoga domu rozsadzona została, ale skąd te gruz i przeszkody na korytarzu?

Napróżno starałem się zapalić zapalnik. Wiatr i przeciąg hulał wszędzie gasił ją bezustannie.

— Musimy czynić wszystko co możliwe aby się stąd wydostać — mruknął za moimi plecami Dalton.

Chodźcie za mną!

Ukląkł i przesuwając się z trudem zaczął poprzecz nagromadzenie belek, desek i szczątków mebli przeróżnych.

Posuwałem się za jego śladem, rękami dotykając podeszew jego trzewików, starając się nie uderzyć o wałęśne ściany tego improwizowanego tunelu.

Za mną pisał numer 42 i Dambleuse.

Dalton nagle zatrzymał się. Słyszałem jak kłął przeraźliwie. Cóż to być mogło? Czy groziło nam zasypanie pod gruzami? Wyczułem, że wyteżał się całym ciałem, że starał się odpechnąć jakąś przeszkodę. Zamknąłem oczy... wysiłek ten jego mógł nas uratować albo też wywołać zwalenie się wszystkich belek na na-

sze głowy. Życie Daltona i nas wszystkich wisi na jednym włosku, zależne było od jednej chwili!

Otworzyłem oczy na trzask okropny, który się rozległ koło mnie i widzę przez otwór, otwierający się na szmat zieleni w ogrodzie, jak Dalton toczy się jak kula naprzód i znika nagle. W minutę później, już byliśmy wszyscy razem w parku, na płasku, oddychając świeżym zinnem powietrzem poranku.

I wolni! Nareszcie wolni!

— Galopem! galopem! — doszedł mnie szepot mojego przyjaciela.

Dwoma skoki przesadziliśmy grządkę truskawek i kwiatów i wpadliśmy w gęste krzaki rododendronów i bzów. Dalton biegł bezustanku. Numer 42 i ja podążaliśmy za nim, podtrzymując starego Dambleuse.

Jedyną przeszkodą do dalszej naszej ucieczki była teraz już tylko furka ogrodowa. Za nią w odległości pięćdziesięciu metrów stał nasz samochód gotowy do drogi.

— Naprzód! — rozległ się głos Daltona.

We trzech rzuciliśmy się całym ciężarem ciała na furkę, która zatrzeszczała głucho i usunęła się pod tym naporem, pociągając nas w błoto.

Kiedy powstałem z ziemi posłyszałem chłapięcie jakgdyby upadek kamienia w kalużę wody i równocześnie jakiś okrzyk donośny i ostrzy przeszył powietrze, tam od strony domu.

Tymczasem Dalton szybkim i energicznym ruchem podniósł starego Dambleuse, grzebiąc go się w błocie i postawił go na nogi.

— Wielki Boże! mruknął — gonią nas! Czyś nie ranny Vallorbe?

— Nie.

— A pan, panie Dambleuse?

— Nie — odpowiedział stary. — Ale co to jest? Co się tam stało?

Numer 42 już biegł naprzód.

— Oh! — zawołał Dalton. Ciężka sprawa, dyabła! To żandarmi!

W tej chwili kula świsnęła mi боло ucha, druga zaś uderzyła w rewolwer Daltona niszcząc go.

— Przekleństwo! zaklął z wściekłością — Uciekajcie! Uciekajcie!

Pociągnąłem starego Dambleuse i widziałem jak Dalton pochylił się zbierając szczątki swojego rewolweru.

Dobiegł nas w chwilę później wówczas kiedy żandarmi już byli przy furtce parku.

— Wszystko dobrze! — wyrzekł zduszonym głosem. — Idyci! Nie pomyśleli o otoczeniu nas. Musieli być bardzo pewni, że nas pochwyta!

— Nie można nigdy być pewnym takiej rzeczy. No! dalej! dalej!

Wepchaliśmy starego do samochodu, wskoczyliśmy za nim i maszyna ruszyła z miejsca zagłębiając się w siną, gęstą mgłę poranną unoszącą się nad ziemią.

Silny ogień karabinów pożegnał naszą ucieczkę. Dwie szyby naszego samochodu rozleciały się w drzazgi.

— Ranni? rzucił krótko Dalton.

— Niel! odpowiedzieliśmy wszyscy trzej.

— Doskonale!

Obejrzał wnętrza pudła i roześmiał się z zadowoleniem.

— Ani jednej kuli w drzewie! Niedolegli! Nie umieją celować! No i co? panie Dambleuse? Jakże się pan czuje? I co pan mówi o tej naszej nocnej wyprawie?

Stary w milczeniu przyjął te słowa.

W tej chwili wiedziony ciekawością odwróciłem się i wyjrzałem przez małą szybę umieszczoną z tyłu pudła. Przy blasku wschodzącego dnia ujrzałem tam w dali, ponad drzewami parku, kłęb gęstego dymu wznoszący się ku górze. Domek kapitana de Limandoux palił się!

— Wybuch prochu wzniecił ogień — wygłosił flegmatycznie numer 42.

— Tam do dyabła! — mruknął Dalton. Jesteśmy teraz rzezimieszkami i podpalaczami.

— Zaaresztują nas za chwilę to pewne — zauważyłem niechętnie.

— Niel! — odrzekł Dalton.

— Jakże to! przecież...

— Niel! Niel! bądź spokojny! Jesteśmy niewinni jak nowonarodzone dzieci.

— Chciałbym jednak wiedzieć, jak się wyłomaczmy z tego wszystkiego.

— Nie będziemy się wcale łomaczyć.

— Nie rozumię cię.

(Ciąg dalszy nastąpi).